

Andrzej Marcelli Cisek

Pożegnanie z moją Ameryką



Andrzej Marcei Cisek

*Pożegnanie
z moją Ameryką*



Warszawa 2023

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA.....	11
WSTĘP.....	13
NASZE MIESZKANIA I DOMY	15
Vista on the Lake	16
Deer Hill.....	18
Kansas City.....	22
Morningview Drive.....	28
DATASCOPE CORPORATION	31
Stan Wiley.....	33
Haim Klement.....	36
Kent McCune	39
Motz & Buhl Master Builders.....	41
Powrót do Datascope	44
DOM NA DEER HILL	48
LESZEK MOCZULSKI.....	50
ROMUALD SZEREMIETIEW	55
AMERICANS FOR INDEPENDENT POLAND	66
ELŻBIETA WASIUTYŃSKA.....	70
PŁK. MARIAN GOŁĘBIEWSKI.....	72
JOANNA I ANDRZEJ GWIAZDOWIE.....	74

KORNEL MORAWIECKI	79
ROMUALD KUKOŁOWICZ.....	82
ANNA WALENTYNOWICZ.....	85
WOJCIECH ZIEMBIŃSKI.....	95
JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI.....	101
WIESŁAW OCHMAN.....	106
Z ZAKAMARKÓW PAMIĘCI	114
Tomasz Księżyk.....	114
Tadeusz Wajda.....	119
Zbigniew Brzeziński.....	122
Moja teoria upadku komuny.....	125
Wypad do Toronto.....	127
Jadwiga Wołek.....	130
Jacek Fedorowicz.....	133
Piotr Wierzbicki.....	134
Wiktor Poliszczuk.....	135
Nikita Kriwcow.....	136
Jiamping Gong i Xhu Li.....	137
Zbigniew Darżynkiewicz.....	139
Mechanika Kwantowa i Biologia Komórki.	
Fascynacja i Rozważania Biologa.....	140
Marek Edelman.....	144
Próba odpowiedzi oszczercom.....	147
INSTYTUT IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W NOWYM JORKU..	152
Stanisław Jordanowski.....	156
Wacław Jędrzejewicz.....	161
Andrzej Beck.....	169
Admirał Zygmunt Bajak.....	173
Drugi i trzeci bankiet.....	183
Ryszard Kapuściński.....	186
Zbigniew Maria Włosowicz.....	189
Ostatnie bankiety.....	191
Powrót do Polski.....	195

DOM NA JELENIEJ GÓRZE W OBRAZACH.....	199
PUBLICYSTYKA.....	247
Ameryka widziana od wewnątrz.....	251
Źle o mediach (1987).....	251
Polska widziana z Ameryki.....	260
PPN polska partia prawicy (1987).....	260
Próba utworzenia polskiej grupy nacisku (1988).....	265
Sprawozdanie z trzyletniej działalności AFIP (1991).....	272
Polska potrzebuje wolności, a nie kredytów (1989).....	277
Dwa powroty (1989).....	291
Polska po 19 latach (1989).....	298
Realści i marzyciele (1990).....	305
Recenzja „Bitwy o Wałęsę” Piotra Wierzbickiego (1990).....	310
Czy wolność słowa wystarczy? (1990).....	316
Po czyjej stronie stoi polska elita (1991).....	321
Gdzie są Polacy z tamtych lat – 1992.....	326
Sny o potędze (1992).....	332
W obcym interesie – krótka historia KPP.....	337
Moja niedoszła polemika z Janem Nowakiem-Jeziorańskim (1995).....	343
Na marginesie niekończących się skandali (1998).....	348
MOJA ITAKA (Ucieczka z Polski i powrót do Ojczyzny).....	355
POSŁOWIE.....	370

WSTĘP

Pierwszy tom moich wspomnień z Ameryki pod tytułem „Na Wolnej Ziemi Waszyngtona” ukazał się w grudniu 2018 roku. Zakończyłem go posłowiem, będącym pokłosiem artykułu „Korupcja” pisanym w styczniu 1993 roku i z apokaliptycznym obrazem przyszłej Polski, który nakreśliłem zaniepokojony konsekwencjami obalenia rządu Jana Olszewskiego i przejścia władzy przez pogrobowców komuny.

W drugim tomie wspomnień z Ameryki piszę o latach od czasu budowy domu na Jeleniej Górze (Deer Hill) aż do powrotu do Polski w roku dwutysięcznym. Ten piękny dom wraz goszczącymi w nim rezydentami i zapraszanymi gośćmi, stał się jednym z ośrodków myśli politycznej amerykańskiej Polonii. Książkę zakończyłem jednak równie apokaliptycznym obrazem, tym razem Ameryki, jeśli nadal będzie nią rządzić Partia Demokratyczna, co do której skorumpowania i zaprzaństwa nie miałem wątpliwości. Pisałem go jednak mając nadzieję, że w drugiej kadencji Donald Trump przywróci Ameryce jej potęgę i pozycję w świecie.

Tymczasem w listopadzie 2019 roku w środkowych Chinach pojawiła się zakaźna choroba płuc wywołana koronawirusem, która już po paru miesiącach opanowała cały świat jako pandemia COVID-19, destabilizując w nim życie i gospodarkę. Moja książka padła również jej ofiarą. Pojawiły się problemy związane z jej wydaniem. Nie wnikając w szczegóły powiem tylko, że pierwszą wersję pod tytułem „Dom na Jeleniej Górze” wycofałem z rynku ze względu na fatalną jakość

ilustracji, a dobra ich jakość była warunkiem *sine qua non*, gdyż odnosiły się do wydarzeń historycznych w Polsce i do ludzi, którzy tę historię tworzyli. Korzystając z konieczności użycia lepszego papieru i nowego jej druku, dokonałem niewielkich zmian redakcyjnych, a samą książkę zatytułowałem „Dom na Deer Hill” by nie mylić jej z poprzednią. Zanim jednak manuskrypt dotarł do wydawcy, w listopadzie 2020 roku zostały sfałszowane wybory prezydenckie w Ameryce. Najbardziej dramatyczne wydarzenia miały miejsce 6 stycznia 2021, kiedy Demokraci ogłosili swoje zwycięstwo.

Tego dnia kraj ten przestał już być moją Ameryką, którą znałem, szanowałem i nie zawaham się powiedzieć, kochałem. Dlatego niniejszą, a zarazem trzecią z kolei wersję tej samej książki zatytułowałem „Pożegnanie z moją Ameryką”.



Jabłonna, 4 lipca 2023 roku
w Dzień Niepodległości
Stanów Zjednoczonych

Kontakt z autorem: amc@cisek.org

MOJA ITAKA

(Ucieczka z Polski i powrót do Ojczyzny)

I taka jest maleńką wyspą na Morzu Jońskim, na której trzy tysiące lat temu Odyseusz był królem. Po ślubie z piękną Penelopą udał się na wojnę trojańską, która trwała dziesięć lat. Po jej zakończeniu zamierzał jak najprędzej wrócić do siebie. Udało mu się to dopiero po dalszych dziesięciu latach po wielu przygodach pełnych niebezpieczeństw. Dzięki pomocy bogów dotarł do Itaki w ostatniej chwili, gdy wierna mu Penelopa mogła już nie dać rady oprzeć się natręctwu zalotników. Dzieje wojny trojańskiej i przygód Odyseusza opowiadał Homer swoim współczesnym, a po latach zostały zapisane jako: „Iliada” i „Odyseja”. Oba te eposy zostały uznane za arcydzieła literatury światowej.

* * *

W pierwszych latach na Uralu. w czasach straszliwego głodu, zimna i wszechobecnego robactwa, Mama utulała nas do snu opowiadając nam śliczne bajeczki o cioteczce Femci i kotku, którego bolał brzusek, oraz recytując ballady Adama Mickiewicza. Potem, już nad Wołgą, gdy już nie głodowaliśmy, Tato opowiadał przygody Odyseusza. W ciepłe wieczory wyprowadzał nas także pod rozgwieżdżone nadwołżańskie niebo i mówił o myśliwym Orionie i jego psie Syriuszu, pięknej Kasjopei i jej córce Andromedzie, którą uratował Perseusz przed pożarciem przez smoka. Pokazywał gwiazdy noszące ich imiona. Te piękne opowieści przeplatał innymi mitami greckimi. Między innymi o nierozłącznych bliźniętach: Kastorze i Polluksie. Dzięki temu już w bardzo młodym wieku poznałem część naszego kulturowego dziedzictwa.

* * *

Niestety, na tym została przerwana moja edukacja w tym kierunku, bo Tato został aresztowany i po wielu miesiącach więzienia skazany na pięć lat łagrów. Ponieważ nie przyjęliśmy sowieckiego obywatelstwa dostaliśmy wewnętrzne paszporty jako *lice bez grażdanstwa*, czyli ludzie bez obywatelstwa. Po skończonej wojnie nie mogliśmy legalnie wrócić do Polski, bo komunistyczne władze polskie też nie uznały nas za Polaków. Wtedy za nas wszystkich podjęła decyzję ciocia Elżbieta Bylicowa, że uciekniemy, dołączając do transportu Polaków wracających do Polski. Po wielu dramatycznych przygodach dotarliśmy do Katowic w kwietniu 1946 roku. Lata wygnania w Rosji i naszą ucieczkę opisałem w książce „Nieludzka ziemia w oczach dziecka”

* * *

Kiedy w październiku 1972 roku wyjeżdżałem z Polski z postanowieniem, że nie wracam, nie znałem jeszcze wiersza Leopolda Staffa, w którym pisał, że każdy człowiek ma swoją Itakę, do której chce wrócić. Gdybym go znał, z pewnością zrozumiałbym go po swojemu. Chciałem wtedy wyrwać moje dzieci z kraju zwanego Polską Rzeczpospolitą Ludową do wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej od komuny. Dla mnie Itaką mógł być wtedy cel, do jakiego chce się dotrzeć bez względu na trudności i trudne do przewidzenia konsekwencje.

Jednak po trzydziestu latach błąkanie się po świecie okazało się, że moją Itaką jest Polska. Dzisiaj bardzo się cieszę, że do niej wróciłem.

* * *

W 1952 roku przechodząc ze szkoły podstawowej do gimnazjum, miałem do wyboru klasę z łaciną lub klasę z językiem francuskim. Wybór nie należał do łatwych, bo chciałem uczyć się obu języków, a mogłem wybrać tylko jeden. Tato, który właśnie wrócił z sowieckich łagrów, zdecydowanie radził wybrać klasę z francuskim. Sam kończył gimnazjum klasyczne i znał łacinę i grekę. Powiedział mi, że rzadko korzystał ze znajomości tych języków, z wyjątkiem satysfakcji recytowania Homera, Cycerona i wielu mądrych sentencji starożytnych mędrców. Przekonał mnie, że łacina jest językiem martwym, a francuski otworzy mi okno na świat.

– Znając francuski – mówił – będziesz mógł dowiedzieć się, jak się żyje w Wolnym Świecie i nie dasz się łatwo oszukać. Dlatego przede

wszystkim ucz się języków obcych, bo poznanie każdego z nich uchyli ci więcej rąbka o świecie, w którym żyjesz.

Wziąłem sobie głęboko do serca tę radę i kończąc szkołę średnią, miałem opanowane trzy języki obce na takim poziomie, że mogłem wymieniać listy z rówieśnikami na całym świecie.

Język polski był moim ojczystym. Rosyjski znałem od dzieciństwa i chociaż usiłowałem go zapomnieć, wrócił do mnie w poezji Puszkina i Lermontowa, dziełach Lwa Tołstoja oraz pieśniach z Uralu i Nadwołża, od których nie uwolniłem się przez całe życie. Francuskiego uczyłem się pilnie przez cztery lata w szkole bez większych sukcesów, ale solidnie podreperowałem jego znajomość w czasie pobytu w Paryżu. Językiem włoskim zachwyciłem się po pierwszym kontakcie. Brakowało mi tylko znajomości angielskiego, chociaż przed samym wyjazdem z Polski ukończyłem intensywny kurs angielskiego w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, a potem już w Paryżu jeden semestr zaawansowanego kursu angielskiego dla Francuzów.

Pierwszy kontakt z rówieśnikami z innych krajów nawiązałem w czasie V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w 1955 roku, na który zostałem wysłany przez moją szkołę. Oprócz uczestnictwa w ważnych wydarzeniach jeden dzień był poświęcony spotkaniom z młodzieżą innych krajów. Na ogół rozmawiali ze sobą kierownik naszej grupy i tłumacz z tamtej, a my uśmiechaliśmy się do siebie, wymieniali pamiętniki festiwalowe, wpisywali im swoje adresy i prosili o to samo z ich strony.

Po powrocie do domu wysłałem kilka kartek pocztowych z pozdrowieniami, a sam dostałem tylko jedną kartkę z pozdrowieniami od niejakiego Giorgio Campana z Genui. Odpisałem mu kilkoma zdaniem po francusku, a ponieważ nie odpowiedział, postanowiłem napisać mu dłuższy list po włosku. W tym celu rozpocząłem intensywną naukę włoskiego. W rezultacie przy pomocy nauczyciela tego języka z trudem skleiłem pierwszy list. Giorgio w poczuciu winy przekazał mój adres swoim kolegom ze szkoły i tak zaczęła się moja korespondencja z rówieśnikami spoza Żelaznej Kurtyny.

Na studiach wymieniałem listy z Emilio Milanim z Genui, Giovannim Corsi z Certaldo Firenze i Cesariną Stanghellini z Casalecchio di Reno, z Alfredem Mariou – francuskim żołnierzem w Afryce i A. Boury z Konga Belgijskiego, którego imienia nie poznałem. Nabrałem wiele podziwu dla Włoch i Francji; ich historii, literatury, malarstwa,

architektury, muzyki, itp. Moje marzenia by zobaczyć te kraje zaczęły materializować się po Praskiej Wiośnie 1968 roku i tzw Wydarzeniach Grudniowych na Wybrzeżu w 1970 roku. Wykorzystując chwilowe osłabienie komuny złożyłem podanie o paszport.

W listopadzie 1972 roku wyjechałem z Polski na zaproszenie mojego włoskiego przyjaciela, Antonio Bianco i znalazłem się w Mediolanie z postanowieniem, że nie wracam do klatki, czyli PRL-u. Miałem wtedy 35 lat a moja wiedza o świecie pochodziła z filmów, książek historycznych, ze szkoły i ... z kłamstw komunistycznej propagandy. Była to wiedza równie cenna jak z dzieł mądrych ludzi. Jeśli coś dla komuny było czarne, dla mnie było białe i odwrotnie.

Już następnego dnia po przyjeździe do Mediolanu rozpocząłem starania o emigrację najpierw do Australii, potem Kanady, a na koniec – Stanów Zjednoczonych. W konsulatach dwóch pierwszych krajów wręczano mi ankiety do wypełnienia w domu, z pytaniami dotyczącymi personaliów i powodów, dla których chcę opuścić swój kraj. Inaczej było w konsulacie amerykańskim. Tam wicekonsul, wręczając mi ankietę do wypełnienia na miejscu, a nie w domu, dodał z naciskiem, że moje odpowiedzi mają być zgodne z prawdą, całą prawdą i tylko z prawdą.

– Dlaczego miałbym kłamać? – zapytałem naiwnie.

Wyjaśnił, że ta pierwsza ankieta stanie się jednym z moich podstawowych dokumentów. Gdy po kilku latach amerykańskie władze imigracyjne rozpoczną proces naturalizacji i znajdą istotne różnice pomiędzy nim a innymi moimi wypowiedziami, to moje podanie o obywatelstwo może zostać odrzucone. W Ameryce – tłumaczył dalej – obywatel nie może okłamywać władzy, ale również władza nie może okłamywać obywatela. Takie stwierdzenie było dla mnie dodatkową zachętą do osiedlenia się w Ameryce.

Moim sponsorem w Paryżu została polonijna organizacja *Polish-American Immigration and Relief Committee*. Pod jej pieczęcią w marcu 1973 roku miałem przesłuchanie w amerykańskim konsulacie, przeprowadzone przez urzędnika Immigration Office, w którego gestii było podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie przyznania mi wizy jak politycznemu uchodźcy. W trakcie wywiadu mój rozmówca, elegancki pan – przypuszczam agent CIA – nabrał podejrzania, że to co, mówię słabą angielszczyzną, nie zgadza się z tym, co pisałem w Mediolanie. To były dramatyczne chwile, bo nie rozumiałem jego pytań, a do tego

nie pamiętałem, co wtedy pisałem. Ponieważ on nie znał francuskiego, poprosiłem o tłumaczkę, abym mógł odpowiadać po francusku na jego pytania. Już po kilku moich odpowiedziach, ku memu zdziwieniu odezwał się do mnie po włosku z silnym amerykańskim akcentem. Wyczytał w mojej aplikacji, że znam pięć języków i chciał sprawdzić. Byłem akurat po trzech miesiącach pobytu w domu Antoniów i siłą rzeczy mówiłem biegle po włosku. Jego włoski był dużo słabszy i nawet tłumaczył się, że wiele zapomniał, ale jest dumny ze swego włoskiego pochodzenia od strony matki i irlandzkiego – od strony ojca. Odpowiedziałem, że mu się wcale nie dziwię, bo też byłbym dumny na jego miejscu. Dodałem jednak z naciskiem, że z kolei ja jestem dumny, będąc Polakiem.

W czasie pobytu w Paryżu przeczytałem wiele zakazanych w komunie książek. Między innymi „Historię Stanów Zjednoczonych” Pawła Zarembę, którego pamiętałem jako publicystę radia „Wolna Europa”. Autor przekazał mi swoją fascynację demokracją i potęgą USA. Po jej lekturze już się nie wahałem i poszedłem na interview do konsulatu amerykańskiego po wizę uciekiniera politycznego, chociaż wiza kanadyjska też mogła już na mnie czekać. Poznani w Paryżu życzliwi mi przyjaciele pochwalili mój wybór i poddawali mnie testom, czy wytrwam w swojej decyzji, wyolbrzymiając trudności, jakie napotkam w Ameryce.

W sierpniu 1973 roku dotarłem do wymarzonego celu. Moim pierwszym wrażeniem było, że tej wolności jest za wiele. Ja jej tyle nie chciałem. Mnie na przykład na początek wystarczyłoby, że mógłbym się zameldować, gdziekolwiek bym chciał. Tymczasem w Ameryce nie trzeba się było w ogóle meldować.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że na początku ta nieokiełznana wolność mnie wręcz przeraziła. Długo nie mogłem się nadziwić, że amerykański obywatel może palić i pluć na flagę amerykańską, może jechać do kraju będącego w stanie wojny z jego własnym i tam publicznie o całe zło oskarżać własną ojczyznę, po czym spokojnie do niej wrócić bez żadnych konsekwencji.

W tym samym czasie również nie mogłem się nadziwić, jak znakomicie zorganizowane jest to państwo. W rezultacie sam doszedłem do wniosku, że jest tak dzięki tej wolności, co potwierdziły dalsze etapy mojego odkrywania Ameryki.

W mojej odysei, którą wtedy nazywałem tułaczką, sprzyjało mi wyjątkowe szczęście. Miałem jednak w tym udział, przygotowując się psychicznie do dużo gorszych scenariuszy. Już w listopadzie miałem mieć szkolenie w Holandii. Za granicę mogłem wyjechać tylko na *Re-entry Permit*, dokument upoważniający do powrotu obcokrajowcom rezydującym w Ameryce. Niezwłocznie zacząłem starania. W bostońskim oddziale Immigration urzędnik, zanim zaczął wpisywać na maszynie do pisania moje odpowiedzi, uprzedził mnie, że na jego pytania mam odpowiadać zgodnie z prawdą, samą prawdą i tylko z prawdą. Wciąż nie byłem pewien, co wtedy pisałem w Mediolanie, ale znowu mówiłem jak było*. Po skończonym wywiadzie zrobiłem sobie zdjęcie na aparacie Polaroid, stojącym na korytarzu, a on przypiął je do mojego podania. Po odpowiedzi i *Refugee Travel Document z Re-entry Permit* miałem się zgłosić za cztery tygodnie. Wychodziłem od niego pełen uznania dla amerykańskiej biurokracji. Wszystko załatwiłem jednego dnia w dwie godziny.

Wracając w styczniu 1974 roku z Holandii, miałem wrażenie, że wróciłem już do siebie, do domu. Na lotnisku w Bostonie urzędnik celny odbierający mój *Re-entry Permit*, powitał mnie słowami:

– *Welcome home* – witaj w domu.

Tak! Ameryka już wtedy stała się moim domem. Jeszcze od czasu do czasu wybrzydzałem w listach do rodziny i przyjaciół, bo ta nadmierna wolność nadal budziła moje obawy.

Z żoną i dwoma synami połączyłem się po dalszych czterech latach. Chociaż przetarłem dla nich ścieżki w nowym kraju, im też było trudno na początku i co jakiś czas pakowali się, żeby wracać do Polski. Wreszcie obaj synowie powiedzieli, że zostają. Im najłatwiej przyszło dostosować się do nowych warunków i już po kilku miesiącach byli wśród najlepszych uczniów w szkole.

Po uzyskaniu obywatelstwa, najpierw ja, potem Danka, a na koniec chłopcy, braliśmy udział we wszystkich wyborach federalnych na prezydenta, w wyborach stanowych na dwóch senatorów i jednego posła,

* Mark Twain powiedział kiedyś, iż tylko kłamcy muszą pamiętać, co mówili. Prawda jest tylko jedna, chociaż każdy ma swoją własną. Kłamstw natomiast może być bez liku i kłamcy nie są w stanie pamiętać, co kiedyś kłamali.

w wyborach lokalnych na sędziów, szeryfów, intendentów szkolnych, burmistrzów, członków rad miejskich, itd. Jednym słowem stale kogoś wybieraliśmy. Nikt nas do nich nie zmuszał i były to wybory w pełni świadome. Wziąłem na siebie obowiązek zapoznania się z życiorysami kandydatów i ich programami wyborczymi. W ten sposób, sami nie mając ambicji politycznych, uczestniczyliśmy w procesie ustalania prawa i rządzenia Ameryką, co jest podstawą demokracji. Co najmniej raz w roku chodziliśmy na jakieś wybory, które na ogół odbywały się w pierwszą środę listopada i nie był to dzień wolny od pracy. Tego dnia po wyjściu z biura zawsze spieszyłem się, aby zdążyć do domu przed 19:00 i zaraz potem wychodziliśmy głosować. Przez następne dni przy wspólnych posiłkach rozmawialiśmy na temat wyników wyborów. Obaj synowie, jak długo pozostawali pod naszą opieką, głosowali jak my na Republikanów. Było rzeczą normalną, bo na ogół rodzice przekazują swoim dzieciom wartości, w jakich sami byli wychowani. Paweł nawet zarejestrował się jako konserwatysta. Potem obaj pod wpływem środowiska zmienili swoje preferencje partyjne i sympatie polityczne.

Już na samym początku mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych widziałem tam próby burzenia ładu społecznego. Wydawały mi się jednak błahe w porównaniu z potęgą tego kraju i amerykańskiej demokracji. Wiedziałem już, że nie potrzeba rewolucji, aby coś zmienić. Wystarczy poczekać do następnych wyborów. Jednak niezbędnym do tego warunkiem było, że nie zostaną sfalszowane, a do tego miałem wtedy całkowitą pewność.

Jeszcze na początku, gdy byłem sam w Bostonie, wyczytałem w dzienniku *Boston Globe* wypowiedź jakiejś pani psycholog, że nie można narażać dzieci na stres przegranego, więc w czasie gry w piłkę niech ją sobie kopią dla samej przyjemności kopania, a nie, aby zwyciężyć. Trudno mi było uwierzyć. Był to dla mnie pierwszy przykład głupoty pedagogów eksperymentujących swoje poronione pomysły wychowawcze na dzieciach. W tym samym czasie w tym samym dzienniku śledziłem procesy, zwane pedofilskimi. Zadawano dzieciom pytania tak spreparowane przez śledczych pedagogów, że te bezwiednie dawały się wciągać w pułapkę oskarżenia kogoś z najbliższego kręgu rodziny, najczęściej wujka. Ci manipulatorzy starali się udowodnić, że zło tkwi w rodzinie, że trzeba dziecko bronić przed nią, a najlepiej dać je pod opiekę specjalistów. Według nich przytulanie dziecka mogło być

molestowaniem seksualnym, a klaps w pupę poniżaniem jego godności. To było początkiem tego, co prowadziło do niszczenia tkanki rodzinnej i ciężkich urazów psychicznych u dzieci, kiedy wracały na łono rodziny, którą oskarżyły.

Po latach pojawiły się inne potworki postępu: feminizm, dzenderyzm (*gender studies*), kłamstwa o rzekomej dyskryminacji zбочeńców, podczas gdy oni pysznili się na swoich Paradach Dumy (*Pride Parades*), zaś śpiewy i szopki bożonarodzeniowe zaczęły obrażać co wrażliwszych bezbożników i przedstawiciele wybranego narodu. Była nadzieja, że te szaleństwa same się wypalą, bo naród był nadal głęboko wierzący w Boga pod różnymi postaciami i w różnych religiach. Takie tłumy jak w kościołach amerykańskich, widziałem tylko w Polsce. W każdym hotelu na szafce nocnej obok książki telefonicznej leżała wtedy Biblia, a dzisiaj są tam na ogół środki antykoncepcyjne. Ta zaraza dotarła już do zdegenerowanej Europy Zachodniej, a teraz za pośrednictwem Unii Europejskiej usiłuje wtargnąć do Polski.

Naszej rodzinie, podobnie jak cichej większości amerykańskiego społeczeństwa (*Silent Majority*), dało się żyć własnym życiem i cieszyć się wolnością. Reagowaliśmy jednak na każdy objaw zagrażający przyszłości Ameryce. Po niepokojących plotkach, że są próby zakłamywania historii w lekturach szkolnych, poszliśmy jednego dnia z Danką sprawdzić w szkolnej bibliotece, jakimi książkami karmi się młodzież. Przejrzeliśmy kilkanaście książek na chybił trafił wyjętych z półek. Nie mieliśmy do nich żadnych zastrzeżeń i odetchnęliśmy.

Innym razem Juliusz przy kolacji powiedział, że nowa nauczycielka miała się wyrazić, że prezydent Reagan jest największym podżegaczem wojennym. Następnego dnia zadzwoniłem do szkoły. Dyrektor uspokoił mnie, że już doszły go głosy innych rodziców i ta pani, która była tylko w zastępstwie, nie zostanie zatrudniona na etacie.

Ja z moim wybuchowym charakterem mogłem kilka razy zostać aresztowany za zakłócanie porządku publicznego. W środowisku polonijnym dość skutecznie walczyłem piórem, nazywając rzeczy po imieniu. Wbrew moim ambicjom, zaangażowałem się w utworzenie polskiej grupy politycznego nacisku pod nazwą Americans for Independent Poland. Domagając się wolności dla Polski w listach do amerykańskich polityków, przekonywaliśmy ich, że wolność Polski jest w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych.

Po powrocie z Ameryki do Polski w roku dwutysięcznym nadal brałiśmy udział we wszystkich wyborach na szczeblu federalnym i stanowym. W 2004 roku zagłosowaliśmy ponownie na George'a W. Busha, chociaż ja miałem do niego już tyle zastrzeżeń, iż nawet zastanawiałem się, czy w ramach protestu przeciwko polityce Partii Republikańskiej, nie zagłosować na Demokratę.

W 2008 roku głosowaliśmy na Johna McCaina, który mimo pięknego życiorysu, nie był też kandydatem naszych marzeń. Jego kontrkandydat, Barack Hussein Obama, nie wchodził w ogóle w rachubę. Już wtedy zostało złamane prawo wyborcze, bo nie było jeszcze wiadome z całą pewnością, czy urodził się w Stanach, a było to nieodzownym warunkiem ubiegania się o stanowisko prezydenta*. Nie miałem nic przeciwko temu, że jest Murzynem, ale niepokoiły mnie pogroźki, że jeśli nie zostanie wybrany, to amerykańskie miasta będą płonąć, a kraj spłynie krwią. Tak zastraszano polityków od dawna i nie były to tylko pogroźki. Tym razem wyglądało poważnie i niewykluczone, że Demokraci już wtedy byli gotowi zdobyć władzę siłą i oszustwem.

Obama obok typowych obietnic przedwyborczych skierował debatę publiczną na dwa drażliwe tematy: niewolnictwo i brutalność policji.

Niewolnictwo było hańbą ludzkości od jej zarania: od demokracji greckiej i republiki rzymskiej aż do początków XX wieku. W starożytności niewolnikami byli ludzie tej samej rasy, a nawet współplemieńcy swych właścicieli. W ten sposób niewolnikami Greków byli inni Grecy. Kto miał siłę i pieniądze, wykorzystywał je do podporządkowania sobie słabszych.

Dopiero od połowy XVI wieku źródłem niewolników stała się Afryka. Czarnoskórzy poddani miejscowych kacyków byli przez nich wymieniani za kolorowe paciorki arabskim kupcom, ci z kolei sprzedawali ich głównie Portugalczykom, a oni w urągających warunkach przywozili ich na targi do Nowego Orleanu i na Jamajkę. Na niewolników był ogromny popyt, bo na nowych ziemiach pracy było wiele. Właściciele niewolników dbali o nich tak, jak dobry gospodarz dba

* Dopiero 27 kwietnia 2011 roku, w czasie drugiej kadencji Obamy, Biały Dom opublikował kopię jego świadectwa urodzenia. Wyglądało ono, jakby świeżo wyszło z drukarki i wynikało z niego, że urodził się w Honolulu na Hawajach.

o swój inwentarz. Niewolnik musiał mieć siły do ciężkiej pracy, a więc jeść i mieć warunki do odpoczynku. Zdarzały się przypadki, że właścicielami czarnych niewolników stawali się wyzwoleni czarni niewolnicy.

Zniesienia niewolnictwa coraz mocniej domagała się opinia publiczna, szczególnie w stanach północnych, gdzie ludzie czytali „Chatę Wuja Toma” wydanej w 1851 roku. Dziesięć lat później wybuchła Wojna Secesyjna pomiędzy stanami Północy i Południa. Północ domagała się zniesienia niewolnictwa, ale bardziej chodziło o niedopuszczenie do odłączenia się wielkopańskich, bogatych i świetnie zorganizowanych stanów południowych. Te z kolei poczuły się zagrożone w swoich prawach zagwarantowanych przez Konstytucję. Nie chcieli też aby nikt ich nie pouczył, jak się mają rządzić u siebie. Na Północy wojnę tą nazwano *Rebellion*, a na Południu mówili i nadal mówi się *The War*. Była najkrwawszą w historii Stanów Zjednoczonych, w której śmierć poniosło 620 tysięcy żołnierzy amerykańskich, niewiele mniej od strat w II Wojnie Światowej.

Po zwycięstwie Północy została zniszczona cała infrastruktura Południa i plantacje bawełny, będące źródłem bogactwa. Ofiarami padli również byli niewolnicy, bo nie umieli przystosować się do samodzielnego bytu. Nie mogli już liczyć na swych dawnych właścicieli, bo ci byli zrujnowani. Północ ich też nie chciała, co najwyżej wykorzystując później jako mięso wyborcze.

Pół roku po zakończeniu Wojny Secesyjnej, w dniu 18 grudnia 1865 roku weszła w życie 13. poprawka do Konstytucji i Stany Zjednoczone

* Harriet Beecher Stowe *Uncle Tom's cabin*. W Polsce pierwsze tłumaczenie ukazało się już w połowie XIX wieku. Najbardziej znane jest tłumaczenie Ireny Tuwim i Juliana Stawińskiego z 1954 roku. Ja czytałem w Polsce tę książkę w przekładzie Stanisława Strumpf-Wojtkiewicza jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej, a po angielsku w 1974 roku i było to jej pierwsze wydanie. To są dwie różne książki, a polskie wydanie było moim zdaniem lepsze.

W 1979 roku obejrzelśmy z wielkim zainteresowaniem 14 godzinny serial „Roots” na podstawie rodzinnej sagi Alexa Haley potomka niewolników. Przez wiele tygodni film ten był tematem gorących dyskusji w mediach i również w mojej pracy. Od czasu do czasu włączałem się i mówiłem, że w ZSRR miliony łagierników jest nadal o wiele gorzej traktowanych przez władze sowieckie. Nie znalazłem zrozumienia u większości kolegów, bo o łagrach i milionach ofiar komunistów niektórzy z nich nie słyszeli.

stały się one czwartym krajem na świecie, w którym zniesione zostało niewolnictwo i roboty przymusowe.

W tym samym czasie zachodnie mocarstwa europejskie: Anglia, Francja i Niemcy zaczęły dzielić między siebie Afrykę. Do ich grona dołączyła świeżo odrodzona Belgia, której król Leopold II zajął ogromne obszary w dorzeczu rzeki Kongo jako swoją własność. „Humanizacja” Konga przez wynajętych przez Leopolda siepaczy i „misja cywilizacyjna” Niemców w Namibii, pochłonęły w obu tych krajach miliony zamordowanych tubylców. Niemcy już wtedy budowali tam obozy koncentracyjne. Belgowie jeszcze do końca 1920 roku przywozili Kongijczyków, wsadzali do klatek w ogrodach zoologicznych i pokazywali jak zwierzęta. Dzisiaj te państwa bez medialnego rozgłosu przyznają się do tych zbrodni z wyjątkiem Niemiec i zaczynają płacić potomkom ofiar odszkodowania. Ostatnio dołączyła do nich Holandia za zbrodnie na Molukkach.

Po przybyciu do Ameryki, ja też widziałem przykłady rasizmu, ale również wysiłki kolejnych administracji, aby rozwiązać ten problem. Martin Luther King już nie żył, a biali postępowcy z amerykańskich uniwersytetów przy poparciu nowych przywódców Murzynów takich jak Malcolm X i Louis Farrakhan, zaczęli Murzynom mącić w głowach. Pojawiły się teorie, że cała cywilizacja pochodzi z Afryki, bo Egipcjanie mieli ciemną skórę i przez postępowców zostali uznani za Murzynów*. Towarzyszyły temu prześmieszne błagania na kolanach o wybaczenie niewolnictwa. Z okazji pięćsetnej rocznicy odkrycia Ameryki znaleźli się nawet „uczeni”, którzy udowadniali, że to nie Kolumb ją odkrył, tylko Murzyni przybyli na łodziach z Afryki. Tak już zaczęto uczyć w amerykańskich szkołach.

W tych dyskusjach na największych forach medialnych zapomniano o jednym temacie: niewolnictwie w Rosji a potem w Związku Sowieckim. Tam cały naród przez wieki był w niewoli. Rosyjski *wuj Tom* mieszkał co prawda w swojej *chacie*, ale nie wolno mu było jej opuścić bez zgody swego pana, a później lokalnej placówki NKWD.

* Istotnie na południe od Egiptu istniało państwo Numidyjczyków o skórze ciemniejszej od Egipcjan, o którym wiadomo, że w wieku VII p.n.e. pokonało Egipt i przez sto lat czarni faraonowie siedzieli na jego tronie.

Zaraz po przyjeździe do Stanów czytałem reportaż z *ticker tape parade* w Bostonie na cześć babci, która zastrzeliła dwóch złodziei, którzy po rabunku rozgościli się w kuchni i zażyczyli sobie, by do kawy poczęstowała ich ciasteczkami schowanymi na górnej półce kredensu. Wtedy była gorąco oklaskiwana przez tłumy mieszkańców. Dzisiaj wytoczono jej proces o zabójstwo. Niedługo potem czytałem wywiad z komisarzem policji bostońskiej, że policja używa kul *dum-dum* nie po to, aby zranić przestępcę, lecz aby go ciężko okaleczyć, a nawet zabić. Spokojnie tłumaczył, że muszą się bronić, bo przestępca świadom czekającej go nieuchronnie kary, nie zawaha się zabić ścigającego go policjanta. Kule *dum-dum* wkrótce wycofano z wyposażenia policjantów.

Amerykańska policja rzeczywiście nie patyczkowała się z przestępcami, ale dzięki temu ludzie czuli się bezpieczni w domach i na drogach. Policja była brutalna w stosunku do wszystkich przestępców, niezależnie od koloru skóry. Zdarzały się jednak przypadki, budzące oburzenie, nie zawsze słuszne, ale nagłaśniane na całym świecie.

Na przykład pobicie Rodneya Kinga w marcu 1991 roku przez czterech policjantów w Los Angeles. Pokazywano i komentowano tylko ostatnie minuty zajścia, podczas gdy policjanci mieli uzasadnione podejrzenia, że posiada broń i nie zawaha się jej użyć. W mediach nikt nie zapytał, dlaczego King uciekał po zatrzymaniu go za przekroczenie prędkości, które było tylko wykroczeniem karanym co najwyżej mandatem. Potem okazało się, że złamał warunki przedterminowego zwolnienia z więzienia za rabunek sklepu i brutalne pobicie właściciela. Został schwytany dopiero po pościgu i zanim został powalony, ten umięśniony kolos dobrze odżywiony na więziennym wikcie, nokoutował po kolei próbujących poskromić go policjantów.

Czarnoskórzy mieszkańcy dzielnic opanowanych przez czarnoskórych przestępców, nadal byli ich głównymi ofiarami. Pod koniec naszego pobytu biały policjant był rzadkością w dzielnicach zamieszkałych przez Murzynów. Brutalność policji wcale nie zmieniła się, bo policja stała nadal na straży porządku i ochrony obywateli.

Niedługo po wyborach Obamy w 2008 roku poleciałem na dwa tygodnie do Juliusza do San Francisco. Była to bardzo nieudana wizyta i czułem się tam obco. Wszyscy sąsiedzi i liczni goście byli rozpromienieni zwycięstwem Obamy. Nierzadko witając się, padali sobie w ramiona i powtarzali slogan wyborczy Obamy „Yes, we can”.

Nikt nie umiał mi odpowiedzieć na pytanie, co konkretnego Obama zrobił już dla Ameryki i co w ogóle sobą reprezentuje. Ja słyszałem o wybitnych Murzynach jakimi byli na przykład sędziowie Sądu Najwyższego: Thurgood Marshall czy Clarence Thomas, lub Thomas Sowell, wybitny ekonomista z uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, nie mówiąc już o Martinie Lutherze Kingu. O Obamie nigdy nie słyszałem. Im wystarczyło, że jest czarny. Wtedy na pocieszenie pomyślałem sobie, że jeśli Ameryka dała radę odbudować gospodarkę i międzynarodowy prestiż po katastrofalnej kadencji Jimmy Cartera, to równie dobrze da sobie radę po Obamie*.

Pocieszyłem się dodatkowo tym, że mój pierwszy czarnoskóry przyjaciel, Anthony G. Featherston III ucieszy się z wyboru Obamy. Tony kochał Amerykę, ale wciąż czuł się obywatelem drugiej kategorii, do czego z biegiem lat miał coraz mniej powodów. Posiadał piękny dom w Newton, bogatej dzielnicy Bostonu, letnią posiadłość w Falmouth na Cape Cod, własny jacht, był wykształconym w Szwajcarii lekarzem medycyny, mówił wykwintnym angielskim i kilkoma innymi językami, zajmował wysokie stanowiska w firmach medycznych, a jego żoną była biała Holenderka z zamożnej i wpływowej rodziny van Kempen.

Zadzzwoniłem do jego syna zapytać, czy ojciec pozbył się poczucia niższości po wyborze Obamy. Niestety, Tony już nie żył. Syn odpowiedział, że chyba nie, bo był mocno zraniony w swej dumie. On sam natomiast i obaj jego bracia czują się pełnoprawnymi obywatelami Ameryki i nie mają żadnych kompleksów niższości. Sam zresztą był dowodem wielkich zmian na lepsze, jakie miały miejsce w ostatnich latach. Pamiętałem go jako chłopca marzącego o tym, aby zostać szefem kuchni w dużej restauracji, a w czasie naszej rozmowy był dyrektorem Town School, jednej z najlepszych szkół w Nowym Jorku utworzonej w 1913 roku przez Hazel Hyde.

W maju 2016 roku poleciliśmy z Danką do San Francisco. Ledwo żywi dotarliśmy po 16 godzinach lotu z Frankfurtu bez przesiadki

* W niecały rok po wyborach w dniu 10 grudnia 2009 roku Obama dostał Pokojową Nagrodę Nobla za „nadzwyczajne wysiłki na rzecz wzmocnienia międzynarodowej dyplomacji i współpracy między narodami”. Do tej pory nie wiadomo za co konkretnie. Dzisiaj wiemy już o fatalnych błędach jego administracji właśnie w dziedzinie polityki zagranicznej. To on stawiał na Putina.

najgorszą amerykańską linią lotniczą United Airlines. Po dwóch kadencjach Obamy, Ameryka była już innym krajem. Dało się to odczuć już na lotnisku. To, co kiedyś było kwestią odebrania bagaży, teraz zajęło więcej niż dwie godziny. Przede wszystkim jednak czarnoskóry celnik przeglądając mój amerykański paszport, nie powiedział *Welcome home* – jak ten 50 lat przedtem, kiedy nie byłem jeszcze amerykańskim obywatelem – tylko zadał prowokacyjne pytanie, po co przyleciałem. Odpowiedziałem mu, że przyleciałem do siebie, ale na razie zatrzymam się u syna. Mimo takiego powitania cieszyliśmy się, że znowu jesteśmy w naszej Ameryce. Potem doleciał jeszcze Paweł z Andream i Michasiem. Cała nasza rodzina spotkała się w komplecie. Z naszymi synami i ich żonami różniliśmy się tak znacznie w poglądach politycznych, że do Polski wracaliśmy w nie najlepszym nastroju. Oni zamierzali głosować na Hillary Clinton, a my na Donalda Trumpa. Nasze dzieci patrzyły na nas z politowaniem, a my na nie z niedowierzaniem.

Do tej pory zawsze na czas dostawaliśmy pocztą formularze do głosowania *in absentia*, ale w 2020 roku papiery nie nadchodziły i wreszcie zadzwoniłem do Ambasady USA. Otrzymaliśmy je w ostatniej chwili i od razu odesłaliśmy do Komisji Wyborczej w White Plains NY, naszego ostatniego okręgu wyborczego. My znowu głosowaliśmy na Trumpa.

Wszystko wskazywało, że Trump wygra, bo dorobek jego prezydentury był imponujący. Ameryka z importera energii stała się jej eksporterem, nastąpiła powszechna deregulacja gęstwiny przepisów, obcięto podatki, wzrósł produkt krajowy, wzmógł się ruch na giełdzie, bezrobocie było 3,5% na poziomie najniższym od 50 lat, powstało 7 milionów nowych miejsc pracy, zatrudnienie wzrosło do największego w historii 160 milionów, podniesiono uposażenia najmniej zarabiających, zarobki klasy średniej wzrosły o prawie \$6.000 rocznie, ograniczono nielegalną imigrację przy jednoczesnym zmniejszeniu przypadków deportacji, a granice były strzeżone.

W noc wyborczą wyglądało, że Trump zwyciężył. Jednakże już następnego dnia pojawiły się wątpliwości. Zaczynały napływać karty wyborcze, pochodzące nie wiadomo z jakiego źródła i większość na rzecz Bidena, tak jakby jego zwolennicy umówili się głosować dopiero tuż przed zamknięciem lokali wyborczych. Do tego z wielu okręgów nadchodziły wieści, że głosów tych będzie dużo więcej ze względu na opóźnienia w pracy poczty z powodu pandemii i być może dopiero po

paru tygodniach będzie można ogłosić oficjalne wyniki. Wtedy już straciłem nadzieję, tym bardziej, że tam, gdzie głosy były jeszcze liczone, nie dopuszczano przedstawicieli Republikanów, aby mogli obserwować, jak wygląda sam proces liczenia*. Wszędzie przybywało ich dla Bidena dużo więcej, niż dla Trumpa.

W środę 6 stycznia 2021 roku zdradzili Trumpa nawet najbliżsi, w tym wiceprezydent Mike Pence. Zatwierdził wyniki wyborów jako Przewodniczący Senatu. Wtedy zrozpaczony tłum zgromadzonych wyborców Trumpa ruszył na Kapitol, siedzibę amerykańskiego Kongresu. Dzisiaj już wiemy, że w gronie najbardziej aktywnych napastników obok prowokatorów z Antify było wielu agentów FBI.

Dla mnie była to okropna noc. W moim przekonaniu Ameryka została pokonana nie przez atak nuklearny ani pancerne zagony wroga, lecz przez niszczyielskie siły wewnętrzne. Ich siedliskiem były głównie szkoły oraz media, instytucje kulturalne przy poparciu takich wypasionych w latach prezydentury Trumpa korporacji jak Apple, Facebook, Twitter, Amazon, Coca Cola, Delta Airlines... itp. Spełniły się odwieczne marzenia międzynarodowego lewactwa: Włodzimierza Lenina, że kapitaliści sami wyprodukują sznur, na którym zostaną powieszani, Antonio Gramsciego – teoretyka komunizmu, że zamiast strzelać wrogom w tył głowy, lepiej zainfekować mózgi ich dzieciom, i marzenia George’a Sorosa – miliardera-oszusta wzbogaconego na rabunku oszczędności drobnych ciułaczy.

* Józef Stalin (Uncle Joe dla Demokratów) mówił kiedyś, że nie jest ważne, ile głosów na kogo padło, tylko kto te głosy liczy. Doświadczaliśmy tego w Polsce w wyborach samorządowych w 2014 roku, kiedy w niektórych okręgach PSL zdobyło nawet 35% poparcia, a tuż za miedzą tych okręgów spadało do oczekiwanego poniżej 10%.

POSŁOWIE

Wieczorem 9 listopada 1965 roku miała miejsce gigantyczna awaria sieci energetycznej na wschodnim wybrzeżu USA i w kanadyjskim stanie Ontario na obszarze zamieszkałym przez 30 milionów ludzi. Setki tysięcy nowojorczyków wracających po pracy metrem do domu utknęło w ciemnościach. Nie było paniki i porządek został utrzymany, a w samym mieście nie zanotowano zwiększonej przestępczości.

Kiedy w sierpniu 1973 roku przybyłem do Ameryki, wciąż jeszcze się o tym mówiło. Niektórzy twierdzili, że *blackout* był wojskowym testem dla sprawdzenia, jak zachowają się ludzie w warunkach totalnego zagrożenia. Zarówno mieszkańcy jak i władze miasta zdały wtedy ten egzamin.

Potem tego rodzaje awarie zdarzały się co parę lat i to nie były testy wojskowe, tylko normalne awarie. Przestępcy jednak już czekali na nie, bo były dla nich nową okazją do grabieży. W tym samym czasie w debatach publicznych coraz częściej pojawiały się opinie, że przestępcy są też ludźmi, a postępują tak tylko z powodu nędzy. Za słowami szły czyny. Budowano dla bezdomnych wieżowce i wielorodzinne domy na obrzeżach miast. Wkrótce budynki te były dewastowane przez zasiedlonych tam mieszkańców. Zabroniono budowy płotów z żelaznych prętów zakończonych ostrymi kolcami i zabetonowywania rozbitych butelek na murach okalających osiedla, bo skradający się nocą złodziej mógłby się skaleczyć. Narodziła się nowomowa. Więzienia (*prison*) zaczęto nazywać zakładami poprawczymi

(*correctional facility*), bo przestępcy też mają honor. Kochający inaczej zaczęli urządzać Parady Dumy (*Pride Parade*). Szczególnie wyrozumiały dla wszelkiego rodzaju meneli był prezydent Jimmy Carter, który dodatkowo doprowadził kraj do gospodarczego marazmu i do utraty światowego autorytetu. Tak wyglądały początki niszczenia podstaw Stanów Zjednoczonych.

Do wyborów na prezydenta Stanów Zjednoczonych stanął wtedy Ronald Reagan z wizją wielkiej Ameryki oraz Walter Mondale z programem bezwarunkowego jej rozbrojenia. Mondale poniósł druzgocącą klęskę, zdobywając tylko głosy elektorów ze swojego stanu Minnesota. Już w pierwszych miesiącach kadencji Reagana było widoczne uzdrowienie gospodarcze i wzrost międzynarodowego prestiżu.

Jednakże destrukcyjne siły wewnętrzne zdobywały coraz większe wpływy. Za naszych czasów sfałszowanie wyborów było praktycznie niemożliwe. Jednakże w ostatnim dwudziestoleciu technologia cyfrowa zrobiła wielki postęp, co umożliwiło powstanie potężnych ośrodków manipulowania opinią publiczną. Ludzie wciąż jeszcze wybierali zgodnie z własną wolą, ale decyzje podejmowali już na podstawie zakłamanych informacji (*fake news*) w sferze medialnej. Źródłem ich były serwisy społecznościowe takie jak YouTube, Facebook i Twitter, wyszukiwarki internetowe (Google, Microsoft) i dysponenci chmur pamięci cyfrowej (Amazon). Ich właściciele w większości o lewicowych poglądach i mający ogromne pieniądze, skonsolidowali swoje wysiłki, by wpłynąć na wynik wyborów. Zatrudnili tysiące pracowników, którzy podsłuchiwali, co ludzie mówią na internetowych blogach i czytanie, co w nich piszą. W obłudnej trosce o dobro ludzkości ci cenzorzy decydowali, które z nich dopuścić do przestrzeni medialnej. Twitter takich cenzorów miał około 2000, YouTube 10,000, a Facebook aż 15,000. Z biegiem lat pracę ich coraz bardziej wspomogła Sztuczna Inteligencja (AI) i zainstalowanie w wyszukiwarkach tak zwanych *algorytmów*. Dawały one sygnał o wypowiedziach zawierających niepoprawne politycznie słowa najpierw cenzorom, a potem coraz częściej algorytmy już same decydowały, które z tych wypowiedzi zablokować, a na które nakierować większe zainteresowanie internautów. Jeszcze nie zmieniały samej wypowiedzi, i można się było odwołać od blokujących decyzji. Wiele z moich wypowiedzi również nie pojawiło się na polskich blogach, szczególnie te, w których

były linki do amerykańskich źródeł, na które się powoływałem. Ja się jednak nigdy nie odwoływałem, bo nie chciałem się użerać z cenzorami YouTube i wiedziałem z góry, że to nic nie da. Dla porównania dodam, że wypowiadam się również na łamach *The Epoch Times*, bardzo konserwatywnego amerykańskiego wydawnictwa. Wszystkie moje wpisy pojawiają się tam bez najmniejszych opóźnień nawet wówczas, gdy byłem przeciwnego zdania od autora artykułu i zbierałem tegie lanie od innych czytelników.

Wyborów w 2020 roku nie wygrał Biden. Ten mierny polityk miał być tylko figurantem łatwym do odstrzelenia, na rzecz zdeklarowanych komunistek: Nancy Pelosi i Kamali Harris. Wygrali je: Mark Zuckerberg – Facebook, Jim Dorsey – Twitter, Jeff Bezos – Amazon, Steve Jobs – Apple i najgorszy z nich George Soros. Przeciętny Amerykanin nie miał już wolnego wyboru, bo był zmanipulowany przez nich.

Do obalenia Trumpa dołączyli również agenci ze służb bezpieczeństwa państwa (FBI, CIA) i ministerstwa sprawiedliwości (DOJ), którzy weszli w struktury serwisów społecznościowych. Dodatkowo, w celu uwiarygodnienia swego zwycięstwa w wyborach, Demokraci, zatrudnili tak zwanych *moules* (mułów), którzy do nieznanych w moich czasach skrzynek wyborczych, w godzinach nocnych w dniu wyborów 8 listopada 2020 roku wrzucili setki tysięcy kartek wyborczych.

Trump nie tylko przegrał, ale dwa miesiące później Facebook, Twitter i YouTube pozbawiły go możliwości komunikowania się ze swymi sympatykami, czyli pozbawili go wolności słowa gwarantowanego przez pierwszą poprawkę do konstytucji. Czyli „wolność słowa tak, ale nie dla wrogów wolności”, jak kiedyś głosili przywódcy Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Jeszcze większe zło zagnieździło się w szkołach, którymi zachwycailiśmy się, kiedy uczęszczali do nich nasi synowie. Nauczyciele zrzeszeni w największym związku zawodowym NEA (*National Education Association*), zaczęli bardziej indoktrynować, niż uczyć amerykańskie dzieci. W rezultacie wiele z nich wstydy się własnego kraju, a w krańcowych wypadkach wręcz go nienawidzi.

Prezydent Ronald Reagan powiedział kiedyś: *Wolność można utracić w jednym pokoleniu. Nie przekazaliśmy we krwi naszym dzieciom, że o wolność musi się walczyć i jej strzec. Jeśli im tego nie przekazemy, to*

*u schyłku naszego życia, będziemy opowiadać naszym wnukom, jak to było niegdyś w Stanach Zjednoczonych, kiedy ludzie byli wolni**.

Jakie to szczęście, że w roku dwutysięcznym wyjechaliśmy z Ameryki. Jednakże za wcześniej wróciliśmy do Polski, bo komuna wciąż jeszcze rządziła.

Trudno mi było jeździć po polskich drogach, nie mówiąc już o zatłoczonych ulicach Warszawy. Długi czas nie miałem pewności, kto ma pierwszeństwo na rondach i notorycznie zapominałem o istnieniu tramwajów. Nie wiem, jak przeżyłem tamte lata bez wypadku. Nie byłem w stanie tolerować chamstwa, wulgarnego języka, bałaganu w urzędach i zwyczajów kolejkowych. Oprócz sprzedajnych polityków pojawiła się rzesza nuworyszy, byłych esbeków i budowniczych Polski Ludowej, wzbogaconych na rabunku dóbr narodowych.

Nie odzyskałem dawnych polskich przyjaciół. Ani oni, ani ja nie czuliśmy potrzeby odnowienia wcześniejszych zażyłości, zaś moja rodzina, niegdyś wielka i zwarta, teraz była w rozsypce. Ciocia Ela Domańska co roku zapraszała mnie na swoje imieniny, a okazji było wiele, bo żyła 97 lat. Siedząc z moimi kuzynami przy jednym stole, nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Oni żyli w swoim świecie, a ja w swoim.

Wiele lat tęskniłem za Ameryką, ale po zwycięstwie Prawa i Sprawiedliwości w połowie 2015 roku, powiedziałem do Danki:

– Polska jest w dobrych rękach i możemy spokojnie umierać.

Istotnie, dzisiaj Polska po dwóch kadencjach Zjednoczonej Prawicy, stała się potęgą zarówno gospodarczą jak i militarną, a perspektywy dalszego jej wzrostu są ogromne. Ze strony naszych odwiecznych wrogów na razie nic nam nie grozi. Niemcy rozbroiły się na własne życzenie, a Rosja się sama unicestwia.

Po napaści Rosji na Ukrainę na naszej wschodniej granicy nie mamy już wroga. Rząd polski pierwszy udzielił Ukrainie bezwarunkowej pomocy, a Polacy otworzyli swoje serca dla ponad 10-milionowej rzeszy

* Freedom is never more than one generation away from extinction. We didn't pass it to our children in the bloodstream. It must be fought for, protected, and handed on for them to do the same, or one day we will spend our sunset years telling our children and our children's children what it was once like in the United States where men were free.

uchodźców ukraińskich. Wygrana przez Ukrainę wojna z Rosją zmieni rozkład sił w Europie na korzyść obu naszych narodów.

Pozwolę sobie teraz puścić wodze mojej wyobraźni i nawet, narażając się na śmieszność, optymistycznie zakończyć to posłowie.

Po wojnie rosyjsko-ukraińskiej w perspektywie dziesięciu lat nie będzie Rosji, jaką znaleźliśmy. Może już w ogóle jej nie będzie, a Polska poprzez zaprzyjaźnioną Ukrainą, będzie graniczyć z Chinami wzdłuż Uralu. Temat Chin i tej granicy był obecny w mojej pamięci od dzieciństwa, aż do dzisiaj.

Mój wuj, Józef Kopeć, jako *feldjaeger* armii austro-węgierskiej, kilka lat spędził w niewoli rosyjskiej na Dalekim Wschodzie na pograniczu z Chinami i poznał tamtejsze warunki polityczne. Nie wiem w jaki sposób wrócił do Polski. Pamiętam jednak, że w 1948 roku z przygnębieniem przyjął wiadomość o zwycięstwie komunistów, a szczególnie zapowiedzianą wieczną przyjaźnią Chin z narodami ZSRR. Miałem wtedy dziesięć lat i wujek kilka razy, ni stąd, ni zowąd mówił mi, chociaż o nic go nie pytałem:

– Ty synek pamiętaj; nigdy nie będzie przyjaźni między Chińczykami a Ruskimi.

W 1956 roku jako student fizyki Uniwersytetu Warszawskiego mieszkałem w akademiku na ulicy Anielewicza, niedaleko ambasady chińskiej. Ilekroć przechodziłem obok, z zaciekawieniem oglądałem w zakratowanych gablotach zdjęcia i czytałem kolejne poważne ostrzeżenie pod adresem ZSRR. Myślałem wtedy o wujku Józefie Kopciu.

Po studiach w latach sześćdziesiątych pracowałem w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Jednego dnia, wchodząc rano do budynku głównym wejściem, zobaczyłem ogromną, kolorową mapę, na której Polska graniczyła z Chinami wzdłuż Uralu. Mapa szybko została zdemonstrowana. Jednak wieść o granicy z Chinami szybko się rozeszła i niejednemu Polakowi zamarzyła się taka rzeczywistość.

Wiele lat później w 2007 roku poleciliśmy z Danką na Filipiny świętować tam drugą rocznicę urodzin naszej wnuczki Milan Romualdez, Z tej okazji złożyliśmy wizytę pani Imeldzie Marcos, wdowie po prezydencie Filipin i ciotce naszej synowej. Wspomniałem jej o tej mapie, a ona odpowiedziała, że nie były to wcale marzenia. W połowie lat siedemdziesiątych towarzyszyła swojemu mężowi w wizycie przyjaźni

w Chinach i Mao-Tse-Tung powiedział im wtedy między innymi, że „za 50 lat nie będzie już Rosji, a Polska będzie graniczyła z Chinami wzdłuż Uralu”. Wtedy też poznaliśmy jej syna zwanego w rodzinie Bongbong, a który dzisiaj jest prezydentem Filipin jako Ferdinand Romualdez Marcos Jr. Ostatnio dziennik *South China Morning Post* pisał, że nowy prezydent Filipin wybiera się z wizytą do Chin. W tym samym numerze jest zdjęcie z 1974 roku, na którym Mao całuje w rękę Imeldę Marcos. Właśnie wtedy miała miejsce rozmowa o granicy na Uralu. Od tego czasu minęło 49 lat i Putinowi został jeszcze jeden rok, aby spełniło się proroctwo Mao.

Wróćmy jednak do rzeczywistości. Komunistyczne Chiny i lewacka Unia Europejska z radością powitały wynik sfalszowanych w 2020 roku wyborów w USA, w wyniku których nasz potężny sojusznik, Stany Zjednoczone za Donalda Trumpa, mogły się znaleźć w obozie wroga. Jednakże po serii kompromitujących wpadek, prezydent Biden zmienił się nie do poznania. Odzyskał wigor i już nie przysypia na spotkaniach, a nawet umie sam trafić do drzwi, z których wyszedł. Oby tylko dotrwał do końca swojej kadencji i nadal kandydował na prezydenta. Wtedy zwyciężą Republikanie, najlepiej jeśli w tandemie Donald Trump i Ron deSantis, chociaż każdy z nich osobno będzie dobrym prezydentem.

Uzurpacja dominacji Niemiec w Unii Europejskiej odświeżyła u wielu narodów pamięć o ich zbrodniach w czasie II Wojny Światowej. Wzrasta znajomość prawdy o nich i oburzenie światowej opinii publicznej. Prędzej, czy później Niemcy będą musiały zapłacić ogromne zadośćuczynienia nie tylko Polsce. Z drugiej strony znawcy Chin nie wykluczają, że może tam dojść do wewnętrzzpartyjnej rewolucji i zmiany polityki. Przede wszystkim odżyją dawne animozje pomiędzy Chinami a Rosją. Nie ma już stabilizacyjnej siły Ameryki zapewniającej pokój na świecie.

W Polsce wróg wewnętrzny czuje się nadal bezkarny i nie kryje swych intencji. Opozycja Totalna w sojuszu z pogrobowcami komunistów, wyjałowiona z idei, intelektu i zdrowego rozsądku, zaczyna obrażać nawet swoich potencjalnych sprzymierzeńców. Jeszcze popierają ją zmanipulowani słuchacze TVN, czytelnicy „Gazety Wyborczej”, resortowe dzieci i odwieczni wrogowie Polski. Ten na wschodzie niedługo przestanie się liczyć. Niemcy natomiast, w obawie przed dalszym wzrostem

potęgi gospodarczej i militarnej Polski, wydelegowały już *gauleitera* do zaprowadzenia porządku w polskich landach. Ten notoryczny kłamca o uśmiechu lokaja w rozmowie z Putinem lub kanclerz Merkel, oraz z zaciśniętą pięścią i oczach bazyliuszka, gdy zwraca się do Polaków, w dziele niszczenia Polski ma duże doświadczenie. Przez dwie kadencje rządził nią, ale na szczęście się nie przepracowywał. Wolał grać w piłkę nożną. Tym niemniej niszczył i korumpował ją w miarę swych możliwości, a te miał niemałe. Wie, że władzy przy urnie nie zdobędzie i obiecuje swoim zwolennikom, że w razie konieczności dokona przewrotu siłowego.

Prawo i Sprawiedliwość ma zapewnione zwycięstwo w październikowych wyborach, może nawet z większością konstytucyjną. Rząd polski będzie mógł dalej realizować swój program ochrony rodziny i obrony państwa, a Polsce, w sojuszu z innymi krajami, może uda się przywrócić Unii Europejskiej jej pierwotny charakter. Jeśli nie, to trzeba będzie z niej wyjść i przenieść mur z granicy wschodniej na zachodnią, albo przynajmniej liczyć się z taką ewentualnością, bo zagrożenie z tamtego kierunku staje się coraz bardziej realne.

Tym razem będę głosował na Pawła Kukiza i wierzę, że mój głos nie będzie zmarnowany. Kukiz nie jest politykiem, tylko trybunem ludowym na miarę rzymskich Grakchów. Tak jak oni chce dobra ojczyzny i niczego dla siebie. W moim przekonaniu był siłą sprawczą zwycięstwa PiS-u. Potem wprowadził do sejmu grono wybitnych polityków, a wśród nich Marka Jakubiaka i Kornela Morawieckiego. Ten ostatni z kolei swoimi zasługami utorował drogę awansu synowi Mateuszowi – dzisiejszemu premierowi, który stworzył jeden z najbardziej kompetentnych rządów w naszej historii.